



Czarny Pan rośnie w siłę

Na wąskiej, skąpanej w blasku księżyca drodze pojawili się znikąd dwaj mężczyźni. Przez chwilę stali nieruchomo, celując w siebie różdżkami, a potem, kiedy się rozpoznali, pochowali różdżki pod peleryny i żwawym krokiem ruszyli w jednym kierunku.

— Dobre wieści? — zapytał wyższy z nich.

— Trudno o lepsze — odrzekł Severus Snape.

Z lewej strony drogę obrastały niskie krzaki jeżyn, z prawej wysoki, starannie przystrzyżony żywopłot. Mężczyźni szli szybko; ich długie, sięgające kostek peleryny łopotały jak skrzydła wielkich czarnych ptaków.

— Już myślałem, że się spóźnię — powiedział Yaxley, którego tępa twarz raz po raz pojawiała się w świetle księżyca, przedzierającym się przez gałęzie drzew. — Kosztowało to trochę więcej wysiłku, niż się spodziewałem, ale mam nadzieję, że będzie zadowolony. A ty? Jesteś pewny, że dobrze cię przyjmie?

Snape tylko kiwnął głową. Skręcili w prawo, w szeroką aleję, również obrzeżoną żywopłotem, biegnącym dalej, poza wykute z żelaza pręty imponującej bramy, która zagro-

działa im drogę. Nie zatrzymali się przed nią: obaj unieśli lewe ręce w geście pozdrowienia i przeszli przez bramę, jakby poczerńniały metal był dymem.

Cisowy żywopłot tłumił ich kroki. Gdzieś na prawo coś zaszeleściło. Yaxley szybko wyciągnął różdżkę i skierował ją w ciemność ponad głową swojego towarzysza, ale okazało się, że to tylko biały paw, przechadzający się majestatycznie po szczycie żywopłotu.

— Ach, ten Lucjusz... lubi sobie dogadzać. Pawie... — mruknął Yaxley, chowając różdżkę.

Z ciemności wyłonił się ładny wiejski dwór, przez romboidalne kratki szyb dolnych okien sączyło się światło. Gdzieś z boku, spoza żywopłotu, z pograżonego w mroku ogrodu dobiegał cichy plusk fontanny. Snape i Yaxley ruszyli spieszonym krokiem prostą aleją wysypaną żwirem, chrzęszczącym pod ich stopami. Kiedy dotarli do frontowych drzwi, same rozwarły się przed nimi.

Weszli do wielkiego, mrocznego holu, którego kamienną posadzkę pokrywał wspaniały dywan. Oczy bladoliczych postaci z portretów na ścianach uważnie śledziły każdy ich krok. Stanęli przed masywnymi, drewnianymi drzwiami do salonu i zawahali się przez chwilę, a potem Snape obrócił mosiężną gałkę.

Salon był pełen ludzi, siedzących w milczeniu przy długim, ozdobnym stole. Resztę mebli odsunięto w nieładzie pod ściany. Jedynym źródłem światła był ogień buzujący w marmurowym kominku, nad którym wisiało ciężkie zwierciadło w pozłacanej ramie. Snape i Yaxley zatrzymali się w progu, oswajając się z panującym tu mrokiem, i dopiero po chwili ujrzeli najbardziej zdumiewający fragment rotacyjnej się przed nimi sceny: nieruchomą postać unoszącą się głową w dół nad stołem i obracającą się powoli, jakby wisiała na niewidzialnej linii. Jej zarys odbijał się w zwierciadle

i w wypolerowanym blacie stołu. Nikt nie zwracał na nią uwagi, tylko blady młodzieniec, siedzący pod nią, najwyraźniej nie mógł się powstrzymać, by co chwila nie zerknąć na nią ukradkiem.

— Yaxley, Snape — rozległ się donośny, wysoki głos od szczytu stołu. — Prawie się spóźniliście.

Ten, który wypowiedział te słowa, siedział na tle marmurowego kominka, więc z początku nowo przybyli widzieli tylko ciemną sylwetkę. Dopiero kiedy podeszli bliżej, zajaśniała w mroku jego bezwłosa twarz, przywodząca na myśl głowę węża, z wąskimi szparami zamiast nozdrzy i jarzącymi się czerwienią oczami o pionowych źrenicach. Była tak blada, że wydawała się jaśnieć perłową poświatą.

— Tutaj, Severusie — rzekł Voldemort, wskazując krzesło po swojej lewej stronie. — Yaxley, ty obok Dołohowa.

Zajęli wskazane miejsca. Snape czuł na sobie spojrzenia większości zgromadzonych i to do niego zwrócił się najpierw Voldemort.

— No więc?

— Panie, Zakon Feniksa zamierza przenieść Harry'ego Pottera z jego obecnej kryjówki. W przyszłą sobotę, gdy zapadnie noc.

Jego słowa wzbudziły w obecnych wyczuwalną emocję; jedni znieruchomieli, inni poruszyli się niespokojnie. Wszyscy wpatrywali się w Snape'a i Voldemorta.

— W sobotę... gdy zapadnie noc — powtórzył Voldemort.

Czerwone oczy wpatrywały się w czarne oczy Snape'a z taką intensywnością, że niektórzy odwrócili głowy w bok, jakby się bali, że spopieli ich żar tego spojrzenia. Snape nie opuścił jednak głowy, patrzył spokojnie w twarz Voldemorta, a ten po dłuższej chwili wykrzywił wargi w grymasie, który miał być chyba uśmiechem.

- Dobrze. Bardzo dobrze. A ta informacja pochodzi...
- Ze źródła, o którym rozmawialiśmy — odrzekł Snape.
- Panie!

To Yaxley wychylił się spoza stołu, wpatrzony w Voldemorta i Snape'a. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

— Panie, ja słyszałem coś innego. — Urwał, ale Voldemort milczał, więc po chwili ciągnął dalej: — Auror Dawlish zdradził mi, że Pottera przeniosą dopiero trzydziestego, w noc poprzedzającą jego siedemnaste urodziny.

Snape uśmiechnął się.

— Według mojego źródła zamierzają nam podsunąć fałszywy trop. To pewnie właśnie ta informacja. Sądzę, że na Dawlisha rzucono zaklęcie Confundus. I to nie po raz pierwszy. Wiadomo, że mu nie ufają.

— Zapewniam cię, panie, że Dawlish był tego absolutnie pewny — powiedział Yaxley.

— To całkiem naturalne, skoro był pod działaniem Confundusa — rzekł Snape. — I zapewniam cię, Yaxley, że Biuro Aurorów zostało już wyłączone z opieki nad Harrym Potterem. Zakon podejrzewa, że infiltrujemy ministerstwo.

— A więc Zakonowi w końcu udało się coś wyniuchać, tak? — odezwał się krępy mężczyzna siedzący niedaleko Yaxleya, po czym parsknął zjadliwym chichotem, któremu zawtórowano wzdłuż stołu.

Voldemort nie roześmiał się. Spojrzał w górę, na powoli obracające się nad stołem ciało. Milczał, jakby pogrążony we własnych myślach.

— Panie — ciągnął niezrażony tym wszystkim Yaxley — Dawlish twierdzi, że w przeniesieniu chłopca wezmą udział wszyscy aurorzy..

Voldemort uniósł wielką, białą rękę i Yaxley natychmiast zamilkł, patrząc z zawiścią, jak Czarny Pan zwraca się znowu do Snape'a.

— Dokąd zamierzają przenieść chłopaka?

— Do domu jednego z członków Zakonu — odrzekł Snape. — Według mojego źródła ten dom będzie miał zapewnioną wszelką ochronę, na jaką stać Zakon i ministerstwo. Uważam, że kiedy chłopak już tam się znajdzie, trudno go będzie stamtąd porwać, chyba że uda się nam opanować ministerstwo przed przyszłą sobotą i wykryć dość zabezpieczających dom zaklęć, by przełamać resztę.

— Co ty na to, Yaxley? — zawołał od szczytu stołu Voldemort, a w jego czerwonych oczach rozbłysł żar. — Uda nam się opanować ministerstwo przed przyszłą sobotą?

Wszystkie oczy ponownie zwróciły się ku Yaxleyowi, który wyprostował ramiona.

— Panie mój, mam dobrą wiadomość w tym względzie. Udało mi się... z trudem i olbrzymim wysiłkiem... rzucić zaklęcie Imperius na Piusa Thicknesse'a.

Te słowa wywarły duże wrażenie na siedzących w pobliżu, a jego sąsiad, Dołohow, mężczyzna o podłużnej, wykrzywionej posępnym grymasem twarzy, poklepał go z uznaniem po plecach.

— Tak, to dobra wiadomość — powiedział Voldemort — ale jeden Thicknesse to za mało. Zanim zacznę działać, Scrimgeoura muszą otoczyć nasi ludzie. Wystarczy jeden nieudany zamach na życie ministra, a będę musiał zaczynać wszystko od początku.

— To prawda... ale przecież wiesz, panie, że Thicknesse, jako szef Departamentu Przestrzegania Prawa Czardziejów, ma regularne kontakty nie tylko z samym ministrem, ale i z szefami pozostałych departamentów. Sądzę więc, że będzie całkiem łatwo, skoro już mamy kontrolę nad tak wysoko postawionym urzędnikiem, podporządkować sobie innych, tak by wszyscy działali na rzecz obalenia Scrimgeoura.

— Pod warunkiem, że nie zdemaskują Thicknesse’a, zanim przeciągnie resztę na naszą stronę — wycedził Voldemort. — W każdym razie wydaje się mało prawdopodobne, bym przejął ministerstwo przed przyszłą sobotą. Skoro nie możemy osiągnąć chłopaka w jego nowej kryjówce, musimy to zrobić, gdy będzie tam przenoszony.

— I są na to duże szanse, panie mój — powiedział Yaxley, najwidoczniej łaknący pochwały. — Mamy już swoich ludzi w Departamencie Transportu. Jeśli Potter będzie się teleportował albo użyje Sieci Fiuu, natychmiast się o tym dowiemy.

— Tego na pewno nie zrobi — odezwał się Snape. — Zakon wyklucza wszelką formę transportu, która jest zarządzana lub kontrolowana przez ministerstwo. W ministerstwie nie ufa nikomu.

— Tym lepiej — powiedział Voldemort. — Będzie musiał przedostać się do nowej kryjówki bez użycia czarów. Łatwiej będzie go dopaść. — Znowu spojrzął na powoli obracające się w powietrzu ciało. — I zrobię to osobiście. Za dużo już było pomyłek. Niektóre sam popełniłem. To, że Potter wciąż żyje, jest w znacznie większej mierze skutkiem moich błędów niż jego zwycięstw.

Zgromadzeni przy stole śmierciożercy wpatrywali się w Voldemorta z lękiem, jakby w obawie, że każdy z nich może zostać obwiniony o to, że Harry Potter nadal żyje. Voldemort zdawał się jednak zwracać bardziej do siebie niż do któregośkolwiek z nich, wciąż wpatrując się w wiszące nad nim ciało.

— Byłem nieostrożny, działałem pochopnie, za bardzo polegałem na szczęśliwych przypadkach, a taka bez troska zwykle niweczy wszystkie plany, jeśli nie są przemyślane do końca. Ale teraz wiem już więcej. Zrozumiałem wiele spraw, których przedtem nie pojmowałem. To ja muszę zabić Harry’ego Pottera. Ja sam. I uczynię to.

Jakby w odpowiedzi na te słowa rozległ się straszliwy, przeciągły jęk pełen rozpacz i bólu. Wielu z siedzących przy stole spojrzało ze strachem w dół, bo ów jęk zdawał się dobywać spod ich stóp.

— Glizdogonie — rzekł Voldemort tym samym co uprzednio spokojnym, zadumany tonem, nie odwracając wzroku od obracającego się nad nim ciała — czy nie kazałem ci dopilnować, żeby nasz więzień siedział cicho?

— Tak, p-panie — wyjąkał mizerny człeczyna, który skulił się na krześle tak, że prawie nie było go widać zza stołu. Zsunął się z krzesła i wybiegł z pokoju, pozostawiając po sobie smugę dziwnej srebrnej poświaty.

— A więc, jak powiedziałem — ciągnął Voldemort, spoglądając teraz na pełne napięcia twarze swoich zwolenników — wiem już więcej. Na przykład to, że zanim uśmiercę Pottera, będę musiał pożyczyć od kogoś z was różdżkę.

Otoczające go twarze zastygły w przerażeniu, jakby ich pan zażądał, by któryś z nich oddał mu jedno ze swoich ramion.

— Co, nie ma ochotników? — zadrwił Voldemort. — No cóż... Lucjuszu, tobie różdżka nie będzie już potrzebna.

Lucjusz Malfoy drgnął. W blasku ognia twarz miał pożółkłą i woskowatą, z oczami zapadniętymi w ciemne oczodoły.

— Tak, panie? — zapytał ochryłym głosem.

— Różdżka, Lucjuszu. Potrzebna mi twoja różdżka.

— Ja...

Malfoy zerknął na swoją żonę. Patrzyła przed siebie, równie blada jak on, ale wyczuł pod stołem krótki uścisk jej szczupłych palców na swoim przegubie. Sięgnął za pazuchę, wyciągnął różdżkę i podał ją Voldemortowi, który przyjrzał się jej z bliska.

— Co to jest?

— Wiąż, mój panie — wyszeptał Malfoy.

— A rdzeń?

— Smok... włókno smoczego serca.

— Świetnie — rzekł Voldemort, po czym wyjął swoją różdżkę i porównał długości.

Lucjusz Malfoy zrobił mimowolnie taki ruch, jakby oczekiwał, że Voldemort odda mu w zamian swoją różdżkę. Nie uszło to uwadze Voldemorta, którego oczy rozszerzyły się złowieszczo.

— Mam ci dać swoją różdżkę, Lucjuszu? *Moją* różdżkę?

Niektórzy parsknęli stłumionym śmiechem.

— Podarowałem ci wolność, Lucjuszu, i jeszcze ci mało? Ale zauważyłem, że ostatnio ciebie i twoją rodzinę coś gnębi... Cóż to takiego? Może moja obecność w twoim domu?

— Ależ skąd... nie... panie mój, przenigdy...

— Och, Lucjuszu, po co te kłamsstwa...

Jego głos zdawał się nadal syczeć w powietrzu, choć ohydne wargi przestały już się poruszać. Ten i ów spośród śmierciożerców ledwo powstrzymał się od wzdrygnięcia, bo ów syk narastał, a spod stołu dał się słyszeć stłumiony chrzęst, jakby coś ciężkiego sunęło po podłodze.

Olbrzymi wąż grubości ludzkiego uda wynurzył się spod stołu i powoli wspinał na krzesło Voldemorta, by w końcu spocząć na jego ramionach. Jego oczy, z pionowymi szparkami zamiast źrenic, były nieruchome. Voldemort pogładził go długimi, szczupłymi palcami, wciąż wpatrując się w Lucjusza Malfoya.

— Cóż takiego gnębi Malfoyów, pytam? Czym ich pokarał los? Czyż od wielu lat nie zarzekali się, że wyczekują mojego powrotu, mojego dojścia do władzy?

— Tak, mój panie, tak, tak — wybełkotał Lucjusz Malfoy, ocierając drżącą ręką pot spływający na górną wargę.

— Pragnęliśmy tego... pragniemy.

Siedząca po jego lewej stronie żona skinęła sztywno głową, nie patrząc na Voldemorta i węża. Po prawej stronie jego syn Draco, który dotąd wpatrywał się w wiszące nad nim ciało, zerknął na Voldemorta i szybko odwrócił wzrok, unikając z nim kontaktu.

— Panie mój — odezwała się siedząca nieco dalej ciemnowłosa kobieta głosem nabrzmiałym emocją — to wielki zaszczyt gościć cię tutaj, w naszym rodzinnym domu. To wielkie szczęście, większe nie mogło nas spotkać.

Siedziała obok swojej siostry, niepodobna do niej w niczym: Narcyza jasnowłosa, sztywno wyprostowana i beznamiętna, Bellatriks ciemnowłosa, z oczami do połowy przysłoniętymi ciężkimi powiekami, wychylona ku Voldemortowi, bo same słowa nie mogły wyrazić jej tęsknoty za bliskością Czarnego Pana.

— Wielkie szczęście — powtórzył Voldemort, przechylając lekko głowę i przyglądając się jej uważnie. — To wiele znaczy w twoich ustach, Bellatriks.

Zarumieniała się, a w jej oczach rozbłysły łzy szczęścia.

— Pan mój wie przecież, że mówię szczerą prawdę!

— Wielkie szczęście... nawet w porównaniu z tym, co wydarzyło się w waszej rodzinie w tym tygodniu?

Przez chwilę patrzyła na niego zdumiona, z rozchyłonymi ustami.

— Nie wiem, o czym mówisz, panie...

— Mówię o twojej siostrzenicy. I waszej, Lucjuszu i Narcyzo. Właśnie poślubiła wilkołaka, Remusa Lupina. Musicie być bardzo dumni.

Wokół stołu wybuchły szydercze śmiechy. Wielu wychyliło wykrzywione uciechą twarze, by wymienić znaczące spojrzenia, niektórzy uderzali pięściami w stół. Wielki wąż, wyraźnie zniesmaczony wrzawą, otworzył paszczę i zasyczał gniewnie, ale śmierciożercy nie zwracali na niego uwagi, ra-

dując się z hańby Bellatriks i Malfoyów. Twarz Bellatriks, tak jeszcze niedawno zarumieniona ze szczęścia, powleka się purpurowymi plamami oburzenia.

— Panie, ona nie jest naszą siostrzenicą! — zawołała, przekrzykując wrzawę. — Dla nas... dla Narcyzy i dla mnie... siostra przestała istnieć, odkąd poślubiła tego szlamę. Nie mamy nic wspólnego ani z tym bękartem, jej córką, ani z żadnym zwierzakiem, którego poślubiła.

— A co ty powiesz, Draco? — zapytał Voldemort, a choć nie podniósł głosu, słychać go było wyraźnie mimo gwizdów i szyderczych śmiechów, które wypełniły pokój. — Będziesz się opiekował szczeniętami?

Zgromadzonych opanowała jeszcze większa wesołość. Prerażony Draco Malfoy spojrział na ojca, ale ten opuścił oczy, więc przeniósł wzrok na matkę, która nieznacznie potrząsnęła głową, po czym znowu wlepiła martwe spojrzenie w przeciwną ścianę.

— Dość już — powiedział Voldemort, gładząc rozszalonego węża. — Dość.

Śmiechy natychmiast ucichły.

— Niewiele naszych najstarszych rodów uniknęło tej zarazy — powiedział, podczas gdy Bellatriks wciąż wpatrywała się w niego błagalnym wzrokiem, wstrzymując oddech. — Trzeba przycinać gałęzie, by drzewo było zdrowe. Odcinać te, które mogą zarazić resztę.

— Tak, mój panie — wyszeptła Bellatriks, a jej oczy znowu nabrzmiały łzami wdzięczności. — Gdy tylko nadarzy się sposobność!

— Wkrótce się nadarzy. A dotyczy to nie tylko waszej rodziny, ale i całego świata... Wytniemy raka, który nas wyniszcza. Pozostaną tylko ci, w których płynie czysta krew czarodziejów.

Voldemort uniósł różdżkę Lucjusza Malfoya, wycelował w powoli obracające się nad stołem ciało i machnął nią kró-

ko. Ciało ożyło z jękiem i zaczęło się miotać, próbując się uwolnić z niewidzialnych więzów.

— Rozpoznajesz naszego gościa, Severusie?

Snape spojrział na wiszącą głowę w dół kobietę. Teraz patrzyli na nią wszyscy śmierciożercy, jakby im nagle pozwolono okazać zaciekawienie. Gdy jej twarz obróciła się w stronę bijącego z kominka blasku, zawołała ochryplym głosem:

— Severusie! Pomóż mi!

— Och, tak — odrzekł Snape, gdy ciało znów się do niego odwróciło.

— A ty, Draco? — zapytał Voldemort, głaszcząc wolną ręką pysk węża.

Draco potrząsnął gwałtownie głową. Teraz, gdy kobieta odzyskała zmysły, nie był już w stanie na nią spojrzeć.

— No, ale ty nie uczęszczałeś na jej lekcje — rzekł Voldemort. — Ci, którzy jej nie znają, niech się dowiedzą, że gościmy dzisiaj Charity Burbage, która do niedawna uczyła w Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie.

Rozległy się ciche pomruki. Jakaś tęga, przysadzista kobieta z ostrymi zębami zachichotała szyderczo.

— Taak... — wycedził Voldemort. — Profesor Burbage uczyła dzieci czarodziejów i czarownic o mugolach... Mówiła im, że niewiele się od nas różnią...

Jeden ze śmierciożerców splunął na podłogę. Charity Burbage obróciła się ponownie twarzą do Snape'a.

— Severusie... błagam... błagam...

— Milcz — powiedział Voldemort i jeszcze raz machnął krótko różdżką, a Charity ucichła, jakby jej nagle zakneblowano usta. — Nie poprzestając na zatruwaniu umysłów naszych dzieci, profesor Burbage w zeszłym tygodniu opublikowała w „Proroku Codziennym” namiętną apologię szlam. Zaakceptujmy szlamy, nawołuje pani profesor. Tak, mamy spojrzeć łaskawym okiem na tych złodziei naszej wie-

dzy i magii! Malejąca liczba czarodziejów czystej krwi to, według niej, niezmiernie sprzyjająca okoliczność... niech wszyscy pomieszają się z mugolami... tak, albo z wilkołakami...

Tym razem nikt się nie roześmiał; w głosie Voldemorta zbyt wyraźnie zabrzmiała wściekłość i odraza. Charity Burbage po raz trzeci obróciła się twarzą do Snape'a, lzy spływały jej z oczu we włosy. Snape przyglądał się beznamiętnie, jak znowu powoli odwraca się od niego.

— *Avada Kedavra.*

Błysk zielonego światła rozświetlił najciemniejsze kąty pokoju. Charity runęła z głuchym łoskotem na stół, który zadrzął i zatrzeszczał. Wielu śmierciożerców odchyliło się gwałtownie do tyłu. Draco spadł z krzesła.

— Nagini, obiad — powiedział cicho Voldemort, a wielki wąż zakołysał się i ześliznął z jego ramion na wypolerowany blat stołu.